

Tadeusz Kępiński

Wspomnienia z niedojrzałości

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (7), 161-171

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Tadeusz Kępiński

Wspomnienia z niedojrzałości

Sceny szkolne

W ostatnich klasach gimnazjum Wielopolskiego Witold uczył się dość dobrze, w każdym razie lepiej niż ja. Bał się przy tym, jeśli możliwe, jeszcze więcej niż dawniej. Najgorsza dla niego była matematyka, do której, jak mówił, nie czuł «woli Bożej». Tym samym przerażała go postać naszego matematyka, profesora Politechniki, Ludomira Wolfkego.

Profesor Wolfke — ożeniony z kuzynką mej matki, Iwanowską — miał w sobie istotnie coś nieludzkiego. W czasie rodzinnych wizyt usiłował uśmiechać się uprzejmie sztywnym grymasem, czasem tylko wydając nieartykułowane odgłosy; «Ziuni» pozostawiał trud mówienia. Był wielkiego wzrostu z ogromną, wąską czaszką, prawie tysy, z czołem niezwykle wysokim. Przedstawiał typ doskonale nordycki, można by powiedzieć — do przesady. Jego specjalnością były geometrie nieeuklidesowe, o ile wiem (nie mylić go z Mieczysławem od niskich temperatur!). Nie dodawało mu to łatwości współzycia, zwłaszcza z uczniami. Otaczała go atmosfera surowej rzeczowości, pozbawionej uśmiechu. Umysł jego emanował abstrakcją i niedostępnym wizjonerstwem, gdy z wzrokiem utkwionym w niematerialne punkty, proste i — co najgorsze — przecinające się płaszczyzny niemal dotykał ich rękami podczas obłądnego wykładu.

Były chwile, kiedy Witold próbował nadażyć za jego myślami i coś uchwycić. Po lekcji wyglądał jakby wyszedł z rzymskiej łaźni. Tym-

czasem — z pogodą na twarzy, co świadczyło o niezwykłym harcie ducha — wstawał Prezes. Był to nasz kolega, bardzo kulturalny i obdarzony nader miłą powierzchownością — słowem, poniekąd prototyp Syfona... Prezes zgłaszał, że ponieważ «jeszcze nie wszyscy koledzy zrozumieli», może pan profesor «zechciałby powtórzyć wykład». To znowu wywoływało ironiczne uwagi Antoniego, który niepojętym sposobem wszystko zrozumiał, podobnie jak Kazimierz Baliński.

Kiedy przychodziło do rachunku sumienia, Witold zaszywał się możliwie głęboko w ławce bacząc, aby na linii strzału między Wolfkem a nim znalazły się szerokie bary Kazimierza lub smukła sylwetka Antoniego. Niedostateczne noty sypały się jak z rogu obfitości, nikogo prawie nie oszczędzając; wywoływanie nazwisk nabierało nieprawdopodobnego tempa i przychodził moment, kiedy osoba Kazimierza, najprzemysłniej nawet upozowana, nie mogła odgradzić Witolda od rozbestwionego żywiołu. Wstawał wtedy i milczał «z godnością», tyle tylko, że ta «godność» była jakoś ukryta przed ludzkim wzrokiem. Kiedyś omawialiśmy kwestię zachowania godności i Witold twierdził, że najniebezpieczniejsze są zupełnie głupie przypadki, na przykład pogoń za zerwanym przez wiatr kapeluszem. Sytuacje psychologiczne — twierdził — są nierównie łatwiejsze. — «A matematyka z Wolfkem?» — spytałem. Nie pamiętam, co odpowiedział.

W końcu padało sakramentalne pytanie, zupełnie zresztą retoryczne:

— Czy Baliński rozumiał?

Kazimierz podnosił się — spodziewając pytania — chrząkał i odruchowo podciągał spodnie, które nie chciały trzymać się na wąskich biodrach.

— To może Baliński skończy — następna rytualna formuła.

I rzeczywiście Kazimierz kończył, a raczej ścierał zwykle wszystko z tablicy i zadanie czy dowód robił od początku. Profesor wdawał się z nim w fachową pogawrkę, Kazimierz kiwał głową i pochrząkując udzielał objaśnień, które do nikogo prócz Wolfkego nie trafiały. Kiedy już cała tablica była zapisana, tenże mówił swoim głębokim głosem:

— Dziękuję, proszę sięść. — Było po burzy.

Tak wyglądała pierwsza godzina, a były zawsze dwie razem. Na pauzie profesor dostawał filiżankę czarnej kawy, bez której nie był zdolny prowadzić wykładu. W chwilę po dzwonku wchodził i już od

drzwi zaczynał wykład od kropki lub przecinka z poprzedniego tygodnia. Wzrok wbijał w jedną z ławek i nawet stojąc przy tablicy nie zmieniał magnetycznego punktu. Kiedy pisał, za każdym odwróceniem wracał wzrokiem do tego samego miejsca... Widać było, jak izoluje się od otoczenia, następnie wpada w trans i zatapia w nieuchwytnych fantasmagoriach.

To były dla Witolda ciężkie nad wyraz przeżycia. Wizjonerskie oczy, zapatrzone w świat idealnych a przenikających się brył, spoczywały na nim: «Może Gombrowicz...» To brzmiało tak łagodnie, a działało jak gilotyna. Sposobu żadnego na Wolfkego nie było. Raz Remigiusz K. — późniejszy adwokat — spróbował na początku lekcji zabezpieczyć się i zgłosił, że z jakiegoś tam powodu jest nieprzygotowany. Mówiąc spostrzegł, że Wolfke stawia mu jedynkę. Więc od początku «Ja właśnie panie profesorze chciałem zgłosić, że...» Wolfke przerwał mu, skinął głową i powiedział: «Właśnie przyjmuję do wiadomości i odpowiednio to zaznaczam».

Najgorsze były dla Witolda dni klasówek. Profesor uprzedzał, że w danym dniu będzie wypracowanie. Obie godziny matematyki wypadły zawsze po dużej pauzie, ze względu na program zajęć na Politechnice. Żał było potrzebę, jak się Witold przejmował. Nie wiem jak spał, ale drugiego śniadania zjeść nie mógł...

W ostatnich latach szkolnych mieliśmy zwyczaj wychodzenia na dużej pauzie na Krakowskie Przedmieście, aby się trochę rozruszać i zażyć powietrza (samochodów — zatem i spalin — prawie nie było). Kupowaliśmy bułki — rogale i równo dzielili. W dni klasówek Kazimierz i Antoni wspominali od niechcienia, że być może przygotowują ściągaczki, po czym zapytywali Witolda, czy by nie uznał za wskazane zajść do cukierni Fruzińskiego. Raz i drugi Witold uznał to za wskazane. Wkrótce weszło w zwyczaj. Któregoś dnia Kazimierz zapragnął fig. Witold kupił więc figi, co tak się nam spodobało, że również weszło w zwyczaj. Rozdzielałem je sprawiedliwie wszystkim. Ale Witold nie mógł jeść, chociaż figi lubił.

W jego wyobraźni wszystko na niego czyhało. Najpierw się denerwował, czy chłopcy zdążą dać mu na czas rozwiązanie, następnie, czy dobrze je przepisze, czy Wolfke nie zauważy tych manipulacji, wreszcie, czy nie połapie się z toku i kolejności działań, że ściągnięte. Tymczasem Antoni i Kazimierz mieli rozwiązania bardzo prędko, ponieważ dzielili się zadaniami i wymieniali je pomiędzy sobą. Następnie Kazimierz preparował ściągaczki — Antoni bowiem pisał trochę

nieczytelnie — robił to zaś inteligentnie, wprowadzając zmiany graficzne i porządkowe. Nigdy przez trzy lata Witold nie miał zawodu i nie wpadł. Zawsze miał klasówki zrobione. Czasem nie kończył, aby obniżyć stopień. Powodzenie nie rozzuchwalało go i ten rozsądny umiar wychodził mu na dobre. Matematyki bał się jednak zawsze — do końca szkoły. Prawdę mówiąc — było czego.

Jego nadwrażliwość potęgował wewnętrzny przymus analizowania do końca sytuacji prawdziwych czy przypuszczalnych — ze wszystkimi konsekwencjami. Dlatego ujemne odczucia potęgowały w nim nieproporcjonalnie. Widział to i umiał wyciągnąć wnioski. Czasem jednak, gdy były zarodki rzeczywistego niepowodzenia czy przegranej — rozrastało się w nim poczucie grozy, któremu pozwalał się opanować. Był wirtuozem i ofiarą własnej pasji i inteligencji analitycznej.

Nigdy nie było dla mnie jasne, jak Witold to bierze. Nie mogę oprzeć się uczuciu, że oprócz dobroduszości, która czasem się objawiała, ale której nie miał za dużo, tkwiła w nim jakaś aberacyjna nieufność. Kupując kolegom słodycze, zyskiwał wewnętrzny spokój. Oczywiście czasem buntował się czy zaniedbywał w zakupach, ale zadania otrzymywał jak zwykle. Przyzwyczaił się, że fundowanie słodyczy to jego resort. Zdarzało się nawet, że kiedy zasiedzieliśmy się w czasie odwiedzin na Służewskiej, a nie było znaku, że chce nas czymś przyjąć, urządzaliśmy słodką bibkę, na którą go uprzejmie zapraszaaliśmy, po czym dowiadywał się, że to wszystko — jego sumptem. Skończyło się to wraz z maturą, na której Kazimierz nadzwyczaj szybko podrzucił nam rozwiązania. Niosąc karteczki pod karafkę z wodą, gdzie był punkt kontaktowy, upuścił je i wtedy Witold zamknął oczy, jakby nie chcąc być świadkiem dalszych zdarzeń. Nic się jednak nie stało, Kazimierz szybko podniósł kartki, nikt poza nami niczego nie zauważył.

Witold wytwarzał jakby magnetyczne pole przyciągające żarty. Jego wygląd, sposób bycia, mówienia wyzwalały zmysł humoru, dawały asumpt do zabawy jego kosztem, czasami do żartów graniczących z uszczypliwością. Działo się to nieodparcie i w sposób całkiem naturalny, bezwiedny, niezamierzony prawie. Nawet Artur Sandauer — witając go na stacji w Vence — podchwycił błędy językowe, jakie popełnił Witold... i to od razu cztery. Po prostu zabawnie było wprowadzać go w «dziwną dystrakcję». Prawie nigdy się o to nie

gniewał. Umiał przyjmować żart obiektywnie i bawił się nie gorzej od złośliwców. Jednak nie zawsze.

Szkolne dowcipy rodziły się spontanicznie, nie były wyszukane, nie warto też o nich wspominać. W jakim były rodzaju? Kiedyś na Nowym Świecie było tłoczniej niż zwykle. Zaczęliśmy iść gęsiego, Witold pierwszy. Gdy się spostrzegł, że ludzie się nam przyglądają, przeszedł spod domów Zamoyskich na stronę zegara Grabau'a. Oczywiście nie oderwał się od węża, przeciwnie, ten przedefilował przez całą szerokość jezdni. Teraz już zrobiła się mała sensacja. Wszyscy patrzyli na Witolda, nie na nas. On był pierwszy. Zrozumiał swój błąd i poczucie sprawiedliwości — a nade wszystko logika sytuacji — nie pozwoliły mu się gniewać. Naturalnie wstyd mu było i bardzo się czerwieniał.

Kiedyś w westybulu kina «Stylowy» staliśmy w tłoku, rozdzieleni kilkoma osobami, Witold w środku. Ni stąd ni zowąd jeden z nas zawołał stentorowo: «Helo Mietek», na co nastąpił zwykły odzew: «Serwus Moniek». Witold zaczerwieniał się, wobec czego natychmiast nastąpiła rozmówka jak z Ollendorfa — trochę pod jego adresem. Publiczność patrzyła na niego, nie na nas. My bruneci, spokojni, naturalni. Antoni ze swoim rzymskim profilem, mnie i Kazimierzowi też nic nie można była zarzucić..., tymczasem on... Miał czerwone uszy i uśmiechał się z przymusem. Później, kiedyśmy już usiedli, powiedział, że najwięcej bał się tego, aby w pobliżu nie znalazł się ktoś z jego znajomych. Oczywiście Kazimierz zauważył natychmiast sporo znajomych osób na sali.

Ciekawe, jak pewne zdarzenia czy realia naszego młodzieńczego życia przeniknęły do psychiki Witolda jako jej trwałe elementy. Warto by prześledzić, co sobie uświadamiał, co odrzucał i zwalczał w imię niepodległości swego wewnętrznego królestwa, co zużytkował w pracy literackiej. Przypomnę raz jeszcze Prezesa-Syfony, który cieszył się w klasie i szkole pozycją ustaloną i niepodważalną. Tymczasem na literackim horyzoncie pojawił się «Nuż w bżuchu», «Tram w popszek ulicy» i także — dziełko Wata pt. «Ja z jednej strony i Ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka». Jakoś narzuciło się skojarzenie żelaznej pozycji Prezesa z piecykiem poety. Zainscenizowaliśmy z Antonim skecz pt. «Mopsożelazny Prezes». Występował Prezes — osoba niema, Głos Pierwszy (ja), Głos Drugi (Antoni) i Chór (my obaj). Treść polegała na tym, że Prezes siedział w ławce, my ustawialiśmy się po obu stronach:

GŁOS I: Z jednej strony stoję ja,
GŁOS II: Z drugiej strony stoję ja,
GŁOS I: To jestem ja z jednej strony,
GŁOS II: To jestem ja z drugiej strony
CHÓR: Naszego mopsożelaznego Prezesa.

Stało się to początkiem końca wysokiego urzędu, chociaż nie leżało w naszym zamiarze. Trzeba przyznać, że «Syfon» stanął na wysokości. Znakomite wychowanie, uśmiech życzliwości dla całego świata, niewinność, wzniosłość, elegancja — wszystko to zagrało, zakłęte w nie całkiem dorosłej osobie, która zdobyła się na jedno zdanie: «Wiesz Tadziu, nie spodziewałem się tego po tobie».

Tyle było w tym zdaniu spokojnego, pełnego żalu wyrzutu, a taka wyniosła wzniosłość, że zawstydziliśmy się — my, autorzy i aktorzy przedstawienia.

Wokół „Pamiętnika z okresu dojrzewania”

Czekałem z niecierpliwością ukazania się «Pamiętnika». Były z tym trudności. «Rój» zażądał pokrycia kosztów papieru i druku, o ile pamiętam, w połowie. Ojciec Witolda sfinansował rzecz «w ciemno» — rodzina nie знаła ani jednego utworu. Pozytywne stanowisko Stanisława Balińskiego nie było bez wpływu na decyzję.

W chwili ukazania się książki nie było mnie w Warszawie. Witold pisał do mnie co następuje:

«Kochany Tadziu.

Notyfikuję ukazanie się mojego dzieła pt. «Pamiętnik z okresu dojrzewania». Liczę na to, że nabędziesz jeden egzemplarz i namówisz pannę I (...) do kupienia drugiego, względnie, że razem we dwoje kupicie jeden. Liczę też, że zrobisz mi reklamę. Bardzo jestem ciekaw Twego szczegółowego i szczerego sądu o tych utworach i proszę abyś, jeżeli znajdziesz chwilę czasu, napisał mi bez obstępów, co o tym sądzisz. Nie można dość nasycić się sądem ludzi inteligentnych i to prawie bez względu na ich sens dodatni czy ujemny. Nie wiem, czy zechcesz mi uwierzyć, ale Twoje zdanie o tym jest dla mnie ciekawsze i ważniejsze, niż taki czy inny artykuł w pismach. Jeżeli bez tego nie może się obejść, to naturalnie ofiaruję Ci jeden egzemplarz z dedykacją, ale wolałbym ofiarować samą dedykację. Czy zobaczymy się w czerwcu? Z Kaziem i Antosiem mało widują się. Sąd mnie przyciera. Chciałbym wyjechać, ale nie wiem, czy mi się uda. Tego biednego chłopca (wspólnego przyjaciela — przyp. T. K.) wyrzucili z Grudziądza i jest teraz w Mińsku Mazowieckim. Ja jestem potwornie zapracowany, gdyż sprawy nasze rodzinne komplikują się, z drugiej strony

sąd, z trzeciej żmudna praca wydania książki a poza tym tysiące minut, które traci się na próżno. Dlatego też nie rozpisuję się zbyt długo. Niezrozumiałe słowa na pierwszej stronie to anagram, zawierający wielką tajemnicę mego życia. Musiałem to dać, gdyż wyrzuciłem przedmowę i pozostała jedna czysta stronica. Bardzo polecam się życzliwości i łasce, ukłony uprzejme dla p. I. W. Gombrowicz».

Naturalnie nie kupiłem egzemplarza, czekając na niechybną przesyłkę, co też się stało. Kazimierz jechał do mnie i zabrał dla mnie książkę od Witolda. Przed jego wyjazdem Stanisław — w obecności Witolda — zdążył napisać wewnątrz drugą dedykację, protekcyjnie żartobliwą.

Na półmiejkkiej okładce Witold pisał:

«Drogiemu Tadeuszowi Kępińskiemu ze słowami przyjaźni Witold Gombrowicz 1933».

Dedykacja Stanisława brzmiała:

«Kochanemu Tadeuszowi przesyłam w padarunku tę książkę Gombrowicza, która mnie zawdzięcza swe ukazanie się i pod mymi wskazówkami, za moją pomocą i przy moich decydujących poprawkach, zmianach, po prostu mówiąc, przy mojej współpracy — dokonaną i wydaną została — poświęca — S. Baliński. VI.33. W-wa — Małoszyce».

Wkrótce otrzymałem od niego drugi list, także bez daty, jak wiele z dawniejszych czasów. Pisze o przesyłce i dedykacji Stanisława.

«Kochany Tadeu,

Nie odpisałem zaraz na Twoją kartę, bo tak mi jakoś zeszło. Przypuszczałem, że zobaczymy się w Warszawie. Dalem Kaziowi dla Ciebie egzemplarz i prosiłem, aby przestał — na którym Staś napisał głupowatą dedykację. Co prawda było mi przykro, że chodząc dotąd w moim ubraniu, nie kupiłeś mojej książki, ale nie mówmy więcej o tym. Książka spotkała się jak dotąd na ogół z życzliwym, nawet gdzieniegdzie z b. życzliwym przyjęciem. Z lekka przerażają mnie potężne osobistości ze środowiska literackiego, jakie zmuszony byłem poznać, jak to — Marek Eiger, Irena Krzywicka, nie licząc Stasia, który zawsze mnie przestraszał. Poza tym 7-go wyjechać zamiaruję na urlop, jeszcze nie wiem dokąd, ale najpewniej na wieś. Antoś b. znudniał, co zaś do Kazia, to dość dawno nie widziałem się z nim, gdyż wybiera się do mnie i nie może się wybrać. Uściśnienia łączę WG».

Czytając robiłem na gorąco moje uwagi na tym egzemplarzu kolorowymi ołówkami, po czym — odciawszy dedykację Stanisława — wręczyłem mu go osobiście, ponieważ zdążyłem już wrócić do Warszawy. Witold na następnym egzemplarzu zamieścił replikę oraz szereg własnych uwag i cytat z głosów krytyki. Wyjechałem znowu do Krakowa i tam właśnie posłał mi ten nowy egzemplarz. Książka ocalała

wśród szczątków mojego archiwum, głównie dlatego, że Witold zrobił mi nią wielką przyjemność i w czas wojny zabezpieczyłem ją w Krakowie. To co miałem w Warszawie przepadło.

Anagram — «Wielką tajemnicę życia» (Ic ei leto can wan zic) — Witold ponumerował, ale niewiele z tego wyszło, coś w rodzaju: *to nie nei zcan wa lec*. Pod spodem napisał:

«Musiałem coś wsadzić w ostatniej chwili, ponieważ usunąłem przedmowę i pozostała jedna biała karta. Woląłem więc to niż cośkolwiek innego (np. dedykację). Miał to być anagram: «To wcale nic nie znaczy», ale z pośpiechu pomyliło mi się i opuściłem parę sylab».

Na następnej karcie książki coś w rodzaju listu:

«Za przesłany mi egzemplarz oraz za pilność i przyjaźń odwzajemniam się po królewsku, przesyłając kontrkrytykę mojego pióra. Krytyka sama w sobie wcale niezła, zwłaszcza użycie kilku ołówków oraz umiejętne przeplatanie pochwał i zarzutów oraz pewna lekkość i swoboda, której mógłby pozazdrościć Antos. Jeżeli jednak krytyk klepnie po ramieniu autora, to pozwolisz, że i autor parę razy mocniej poklepie krytyka. Uważam, że z Twojej strony jest to zwykła hucpa. Nie mówię tego do Ciebie, ale jestem zdenerwowany, że parę osób poklepało mnie w prasie, a głównie ta ... Kaden».

Usunięta przedmowa nazywała się «Krótkie objaśnienie». Pozostała w moich papierach w postaci odbitki. Brzmiała tak:

„Czytelnicy bywają rozmaici. Jednym autor powinien objaśnić to i owo, inni mogliby raczej objaśnić autora. Myślę tu przede wszystkim o niektórych moich znajomych. Kupią oni książkę z osobistej życzliwości dla mnie, a po przeczytaniu powiedzą: «To chorobliwe. On sam nie wie, o co mu chodzi». — Nie mogę dopuścić do tak okropnej sytuacji. Opinia znajomych jest dla mnie bardzo ważna. Dlatego postanowiłem sformułować pokrótce «o co chodzi» i mam nadzieję, że to ułatwienie wpłynie na poczytność nowel, co do których zresztą zgadzam się, że są pisane w sposób zbyt wykrętny.

«Tancerz mecenasa Kraykowskiego» i «Pamiętnik Czarnieckiego» są to opowiadania jasne i zrozumiałe. Bohater «Tancerza», obrażony do głębi przez mecenasa Kraykowskiego, zamiast znienawidzić go — kocha, zamiast pogardzać — wielbi, ponieważ jest zbyt bezsilny, aby mógł przeciwstawić własną rację istnienia racji żywotnego mecenasa. Potwierdza on mecenasa, ponieważ nie może go zniszczyć. W «Pamiętniku Czarnieckiego» miałem na myśli zjawisko rasy, oglądane oczami fikcyjnej postaci, doszczętnie pozbawionej rasy.

«Zbrodnia z premedytacją» jest już bardziej skomplikowana. Syn

wcale nie zamordował ojca. Ojca w ogóle nikt nie zamordował. Syn dusi trupa dopiero wtedy, gdy sędzia śledczy doprowadza go do szafu. Sędzia zgrywa się przez cały czas, a rodzina także częściowo się zgrywa. Nie trzeba przerażać się nadto demonizmem sędziego i syna, gdyż nowela ma raczej charakter intelektualny. Szło o pokazanie dwuznaczności uczucia i tego jak sztuczna i fałszywa sytuacja dobywa z ludzi rzeczy okropne, o których im się nie śniło. (P. S. Rodzina rzeczywiście kochała ojca, a wszyscy pozamykali się na klucz z podświadomego strachu i wstydu przed śmiercią, której zbliżanie się odczuwali. Bardzo trudno objaśnić, gdy się nie wie, co właściwie może być niejasne.)

W grotesce «Biesiada» hrabina Kotlubaj i jej goście jedzą, oczywiście, zwykłego kalafiora, podczas gdy chłopiec, nazwiskiem Kalafior, błąka się po polach, podchodzi pod okno pałacu i umiera tam w końcu z wyczerpania. Związek między człowiekiem Kalafiolem a kalafiolem jarzyną jest czysto formalny i polega na brzmieniu nazwiska. Sens noweli zasadza się na tym, że głód i cierpienia biednego Bolka Kalafiora dodają smaku arystokratom, jedzącym kalafiora-jarzynę. Tajemnicą, której tak długo nie domyśla się mój humanitarny jarosz, jest naturalne okrucieństwo wszelkiej arystokracji.

W «Dziewictwie» nieświadoma Alicja i Paweł (niezbyt udany typ męskiej dziewczicy) fantazjują, marzą, przetwarzają seksualnie cały świat i kończą marnie na kości pod kuchnią. O co chodzi? Dobrze nie wiadomo. Chodzi może o to, że natura płata im figla za ich czystościową postawę wobec życia. Chodzi też o to, że mętne, niespokojne życie zawsze korci — uboga dziewczyna kradnie z głodu bułki, za co sklepikarz rzuca w nią kamieniem. Alicja natomiast, która ma bułek do syta, widzi w tym pieśczętę miłosną, gdyż cierpi głód miłości, jak tamta — głód bułek. Tak więc natrętne, niepokojące życie zawsze korci i na nic chronić się przed nim za wątpliwą osłonę dziewictwa. Jeżeli mi ktoś powie, że ta nowela jest mętnie przeprowadzona, nie będę się spierał. Jest ona mętna, rozlewna i nieokreślona i powinna tchnąć wiosną, młodością, podskórnym nurtem przeczuć i pożądań. Jeśli nie tchnie tym, niewiele jest warta.

Cykl wspomnień «5 minut przed zaśnięciem» zawiera parę obrazów, które mnie nawiedziły w latach młodości — w momencie zasypiania, a może nawet już we śnie. Nie wiem, czy to jest interesujące — dla mnie osobiście jest to nawet bardzo wzruszające i zawsze z przejściem odczytuję tę beznadziejną opowieść, w której okropne

tortury, prześladowania, bezkres oceanów, młodzieńczy niepokój seksualny i męczące poczucie własnej niedojrzałości splatają się w wieńiec udręceń, uniemożliwiający szczęście z ukochaną w wielkim, łagodnym jak słoń Mongolfierze.

«Zdarzenia na brygu Banbury» są, jak głosi podtytuł, próbą oddania aury umysłu; założenie tej noweli zawiera się w słowach przy końcu — zewnętrżność jest zwierciadłem, w którym się przegląda wnętrze. Zewnętrzna rzeczywistość załamuje się w każdym z nas odmiennie, im zaś władze psychiczne bardziej zdezelowane, tym większa deformacja. Jest to dramatyczna historia umysłu, opisana za pomocą zdarzeń zewnętrznych. Jest to nieustanna praca mózgu, snująca sieć, która wreszcie dławi. Świętoszek Zantman zwariował, osaczony dowolnością, maniacką monotonią oraz sentencjonalną nieprzyzwoitością groteskowych i niedorzecznych zjawisk, przedrzeźniających najskrytsze tajemnice duszy. Zepsuta jego dusza odczuwała życie jako coś bolesnego i nieprzyzwoitego i dlatego ginie przez kobiety. (Ważna uwaga! Nie należy doszukiwać się żadnych symboli. Nie ma tam symboli, są tylko skojarzenia. Trzeba to brać dosłownie, tak jak jest napisane. W ogóle nigdy nie bywam symboliczny).

Objaśnienia powyższe stanowią z konieczności nieściśle i pobieżne uproszczenie tekstu, przeznaczone wyłącznie dla czytelników, niedobrze rozumiejących «o co chodzi». Proszę, aby nie były brane pod uwagę przez osoby, które ich nie potrzebują. Nie jest to żadna przedmowa. Rzecz prosta, im mądrzejszy czytelnik, tym i książka okaże się mądrzejsza; im zaś czytelnik głupszy i bardziej jałowy, tym i książka będzie głupsza. Możliwe też, że książka sama w sobie jest głupia. Co się tyczy mojej wizji świata, wizji ponurej, eroto-zmysłowej i wręcz potwornej, to powtarzam jeszcze raz, że nie trzeba się przestraszać. Bynajmniej nie wypieram się tej wizji, stanowiącej moją prawowitą własność, ale któż nie zna niegroźnych kompleksów, buntów i mętów przykrego okresu dojrzewania? — jego sztuczności i specyficznego dystansu «nie na serio»? Szczerze zazdroszczę okazom, które już w trzynastym roku życia osiągają w obliczu wszystkich trudności współczesnych pełnię harmonii i ustalenia psychicznego. Mnie się tak gładko nie udało.

Zycliwy czytelnik spostrzeże jednak, że karta tytułowa niniejszego dzieła opiewa «Pamiętnik z okresu dojrzewania», nie zaś «Dziennik okresu dojrzewania». Stąd wniosek, że dusza moja wynurzyła już (dość dawno) głowę z tego bajora i zaczęła rozglądać się po świecie.

Jeżeli wszakże, pomimo to, zdecydowałem się wydać drukiem te wspomnienia młodości, to tylko z uwagi, że każdy wiek ma prawo głosu. Zresztą, prawdę mówiąc, żał mi było trzymać pod korcem dla względów ubocznych tak inteligentne, ciekawe i oryginalne nowele.

Co się zaś tyczy w szczególności czynnika seksualnego, przewaga jego wynika z ducha czasu, który, niestety, coraz silniej akcentuje związek sfery płciowej ze sferą duchową; przewaga zwłaszcza okrucieństwa i wstrętu wynika stąd, że moim zdaniem rola ich w życiu przewyższa nasze najśmielsze marzenia. Powołuję się w tym względzie na Hitlera”

Bóg strzegł: «Krótkie objaśnienie» wycofał Witold w ostatniej chwili. Nie pytałem go, czy sam się zorientował czy ostrzegł go ktoś życzliwy. Mogło mu bowiem wyrządzić niepowetowaną szkodę przy debiucie.